

Émilie du Châtelet. Bogini Woltera

Z okazji Dnia Kobiet warto przypomnieć postać jednej z najwybitniejszych kobiet Oświecenia: markizy Émilie du Châtelet (1706-1749). Parała się matematyką, fizyką i literaturą. Poza tym była, tak się złożyło, „boginią” Woltera. Emilia była intelektualistką. Przypisuje jej się słynne słowa: 'Inteligencja nie ma płci'.

„Ojciec jej był na tyle bystry, że zrozumiał, iż spłodził fenomen. Podczas gdy większość młodych kobiet z jej sfery mogła tylko czerpać okruchy wiedzy od służby (zwykle wiedzy praktycznej, co bardzo się przydało później tym, które uciekły bez grosza przed Rewolucją do Anglii lub Ameryki), Emilia była, wedle wszelkich kryteriów, bardzo wykształcona. Nauczyła się łaciny, włoskiego i angielskiego; Tassa i Milтона знаła równie dobrze jak Wergiliusza. Przetłumaczyła "Eneidę", umiała na pamięć długie ustępy z Horacego i studiowała pisma Cycerona. Nie chciała uczyć się hiszpańskiego, bo ktoś jej powiedział, że jedyna książka napisana w tym języku jest frywolna. Prawdziwie jednak uzdolniona była do matematyki... Mając dziewiętnaście lat poślubiła trzydziestoletniego markiza du Châtelet, pułkownika i głowę jednego z czterech wielkich rodów znanych jako *les chevaux de Lorraine*... Du Châtelet interesował się jedynie wojskiem; przebywał głównie poza domem, zajęty sprawami swego garnizonu, Emilia musiała więc sobie radzić sama. Podobnie jak jej ojciec uwielbiała towarzystwo i życie dworskie; nabrała gustu do gier hazardowych i rzuciła się w wir miłości. Pomimo starannego wychowania i rozlicznych zainteresowań, było w niej zawsze coś z ladacznicy. Pewien człowiek przyjęty do służby jako lokaj opowiadał, że pierwszego ranka posłano po niego, by przyszedł do jej sypialni. W trakcie wydawania mu poleceń zdjęła koszulę nocną i stanęła naga jak posąg z marmuru. Kiedy indziej zadzwoniła na niego, gdy była w kąpieli, kazała mu zdjąć z ognia kociołek z gorącą wodą i wlać do wanny, w której woda już stygła. Ponieważ nie używała soli kąpielowych, więc woda była przejrzysta, ona zaś siedziała w kąpieli nago. Bynajmniej nie zakłopotana, rozsunała nogi, by mógł wlać wodę między nie..." (Nancy Mitford, *Wolter zakochany*, tłum. Krystyna Szerer).

Jej życie odmieniło się, gdy poznała Woltera...

„[Wolter] Mieszkał w wąskiej uliczce Jacques-des-Brosses, "w najokropniejszej dzielnicy Paryża, w najstarszym domu, bardziej ogłuszony hałasem dzwonów niż zakrystian. Ale ja jeszcze narobię takiego hałasu moją lirą, że bicie dzwonów będę miał za nic." Głupcy naśmiewali się z niego, ponieważ sądzili, że zamieszkał tam z powodu, jaki podawał, czyli dla podziwiania portalu Świętego Gerwazego. Był to zaiste śmiech głupiego! Wolter miał powód znacznie bardziej istotny. Na tej uliczce mieszkał niejaki imć Dumoulin — posłużył on Wolterowi jako figurant — handlarz ziarnem i słomą, który wpadł na pomysł wytwarzania papieru ze słomy! Świetny pomysł! Lecz brakowało mu gotówki — Wolter mu jej dostarczył i interes ruszył. I oto Wolter trudni się produkcją papieru pakowego. Dlatego też wybrał tę dzielnicę, by jedno oko dawać na portal, a drugie — baczne! — na swego fabrykanta słomianego papieru...

Pewnego wieczoru z wykwintnej karety, zablokowanej w wąskiej uliczce, zdołało się wygramolić pod jego drzwiami troje gości przybywających szczęśliwym trafem; by zabawić poetę w jego samotni. Ten zaprosił ich na wieczerzę, ale odmówili grzecznie, byli bowiem u niego po raz pierwszy. Wymógł na nich obietnicę, że zjawią się znowu:

Moja	kucharka	Marianna			
Wykrzyknie	głośno	„Mój	Boże!",		
Gdy	do	kolacji	w	mej	norze
Zasiądą,	rzecz	niesłychana,			
Wielmożna	księżna	Saint-Pierre,			

Du Châtelet i Forcalquier.

To on wymienia nazwiska swych gości: hrabia de Forcalquier, syn marszałka de Brancas, był kochankiem księżnej, markiza du Châtelet nie miała — chwilowo — kochanka. Nie śmiała przyjść sama, tamci ją przyprowadzili. Niebawem nabierze śmiałości. Księżna była dobrą przyjaciółką, chciała ułatwić sprawę i to jej przyszło do głowy wedrzeć się przemocą do poety i ściągnąć do niego panią du Châtelet. Doskonała myśl. Wkrótce, tworząc najwdzięczniejszy w świecie kadryl, ruszyli do oberży w Charonne, by zjeść tam na kolację kurczę w potrawce. Wolter i markiza nie zapomną nigdy tej kolacji, która przypieczętowała ich porozumienie, miłość, przyjaźń trwające lat siedemnaście i zerwane dopiero przez śmierć. Ów wieczór jest

jednym z tych szczęśliwych wydarzeń, których przyczyn nie sposób się doszukać i które są dziełem błogosławionego przypadku. Forcalquier kipiał werwą, był to przystojny mężczyzna, pełen ognia i zalet; musiało być wesoło w jego towarzystwie! Panna de Flammarens mówiła, że „kiedy wchodził, rozświecał pokój”. A był to nie błaży komplement. Pani de Saint-Pierre była niezrównana, promieniała szczęściem mając takiego kochanka i chciała, by wraz z nią promienieli inni. Od tego wieczoru Wolter i pani du Châtelet uwielbiali się nawzajem. Świat niedługo się o tym dowie. Świat jeszcze zapewne nie wiedział tego, co my wiemy, że jedna z najbardziej uczonych i wytwornych kobiet tamtych czasów zadzierzgnęła z największym pisarzem związek miłosny, najsławniejszy w historii literatury XVIII wieku. Nawet gdyby ich jedynym osiągnięciem było to, niemal cudowne, porozumienie sawantki z niesfornym poetą, i tak zasłużyliby na pamięć potomnych. Jest to bowiem cud, który został oszczędzony przez ludzką złośliwość — i pobłogosławiony przez markiza du Châtelet. I po tym wszystkim niech kto powie, że świat jest źle urządzony!

Wolter znał panią du Châtelet od dawna. Była jeszcze dzieckiem, kiedy jej ojciec, baron de Breteuil, tak skutecznie pomógł mu wydostać się z Bastylii. Żył zawsze w najlepszej komitywie z tą rodziną, z którą będzie się czuł odtąd jeszcze bardziej związany. Oboje kochankowie zachowują się z całkowitą swobodą. Wolność, z jakiej korzystają niektóre istoty w społeczeństwie XVIII wieku, jest doprawdy zdumiewająca. Jako arystokrata Wolter traktuje ten związek najzwyczajniej w świecie. Pani du Châtelet również. Niewiele ludzi wiodło w tamtej epoce tak zgodne życie małżeńskie jak Wolter i pani du Châtelet. Małżeństwo markiza du Châtelet jest faktycznie pożyciem na niby; prawdziwe stało to Wolter-Emilia.

Gabriela Emilia Le Tonnelier de Breteuil urodziła się 17 grudnia 1706 r. Miała zatem dwadzieścia siedem lat, kiedy zjawiła się w „norze” naprzeciw portalu Świętego Gerwazego. Od siedmiu lat była żoną markiza du Châtelet. Nie potrzebowała jednak aż tyle czasu, by spostrzec, że jej zacny małżonek nie jest niczym więcej jak zwykłym poczwiiną. Châteletom się nie przelewało, Breteuilowie zaś byli bogaci. Finanse małżeństwa bardziej, niestety, przypominały stan majątkowy Châteletów niż Breteuilów... Na nieszczęście Emilia zachowała upodobania swego rodu, a także niektóre inne, wielce kosztowne: pasję do hazardu i obłudne umiłowanie klejnotów. Sama śmiała się z tych słabostek, ale nie mogła się ich wyrzec. Można się domyślić, że nie dlatego ołśniła Woltera, który był po raz pierwszy i ostatni w życiu głęboko i bez pamięci zakochany. Uczuciu temu obce były szaleństwa i porywy namiętności, w zamian Wolter doświadczył niepokoju, paru ataków gniewu i niewysłowionej tkliwości.

Czy oczarowała go urodą? Nie należy zbyt w to wierzyć, wbrew zwyczajowym komplementom. Nie była aż tak brzydka, jak opisuje ją pani du Deffand kreśląc złośliwy portret, przekazywany z pokolenia na pokolenie, ilekroć mowa o Wolterze i pani du Châtelet. Portret ten słynie wyłącznie ze swej złośliwości. Lecz na fałszywą całość składa się również parę prawdziwych szczegółów. Oto z grubsza wizerunek Emilii:

„Wyobraźcie sobie wysoką, kościstą kobietę, bez bioder, o wąskiej piersi, potężnych ramionach, grubych nogach, ogromnych stopach, malutkiej główce, kanciastej twarzy, spiczastym nosie, dwojgu małych oczach koloru morskiej wody, cerze śniadej, ogorzałej, pryszczatej, płaskich ustach, zębach przerzedzonych i mocno nadpsutych. Oto postać pięknej Emilii...”

Dlaczego więc nazywano ją „piękną Emilią”, jeśli była taka, jak ją odmalowuje pani du Deffand? Na ironię? Nie, przynajmniej dla niektórych zasługiwała na miano „pięknej Emilii”, była bowiem na swój sposób piękna. Zła wola pani du Deffand jest oczywista; nie musimy jej wierzyć, pozwólmy jej raczej dorzucić parę kresek do portretu. Nie oszczędza niczego, ani fryzur, ani ozdóbek, ani klejnotów, ani świecidełek, w których lubuje się Emilia — „ponieważ chce być piękna na przekór naturze i ołsniewająca na przekór fortunie, często musi obchodzić się bez pończoch, koszul, chusteczek i innych drobiazków”.

Nienawisć ponosi panią du Deffand, zazwyczaj nie mniej złośliwą, lecz bardziej subtelną. Trudno uwierzyć, że nader względny niedostatek, w jakim żyli państwo du Châtelet, który skądinąd pozwalał Emilii mieć brylanty, uniemożliwiał jej zmianę pończoch i koszul. Ale ta obfitość błyskotek i klejnotów nie jest czystym wymysłem. Pani du Deffand ma tu słuszość. Kiedy Emilia w dni szczególnej egzaltacji ukazywała się błyszcząca od brylantów pewnie odrobinę fałszywych! — przeraźliwie wymalowana, obwieszona różnokolorowymi i powiewającymi wstążkami, zauważano nie bez uszczypliwości, że całkiem przypomina papieską mulicę kroczącą w procesji z relikwiami.

Wolter nie podzielał tych upodobań, znosił je z przykrością. Najciekawsze, że sama Emilia je potępiała, ale nie mogła się ich wyrzec. Na portretach nie wydaje się wcale brzydka. Może

usta ma nieco zapadnięte, nos trochę za długi, natomiast cera wcale nie jest ogorzała! Malarze są pewnie bardziej wyrozumiali od pani du Deffand — może trochę upiększają. Że miała kościstą budowę, bardzo możliwe; nadawało jej to wygląd majestatyczny. A dlaczego wymawiać jej oczy koloru wody morskiej? Wszyscy są tutaj zgodni: te oczy są piękne, bardzo piękne, spojrzenie miłe, nadzwyczaj inteligentne, promienne. Dostrzega się tylko to spojrzenie: ona także potrafi rozjaśnić salon, do którego wchodzi; z takimi żenicami naprawdę nie potrzebowała tylu brylantów. I tego blasku nie mogła jej wybaczyć pani du Defiand i on to fascynował Woltera.

Z pewnością nie była to ładna lalka, o nie, to nie była figurka z saskiej porcelany. Miała jednak swój urok. I kto wie, czy mimo wszystko jej masywne ramiona, grube nogi i duże stopy nie miały dla „wiewiórki” jakiegoś wdzięku?

Tak więc, na przekór zawiści, Wolter uwielbiał swoją Emilię taką, jaka była, lecz zwłaszcza dla owej wyższości serca i umysłu, które czyniły ją godną jego. Kochał ją także dlatego, że była jego codzienną rozrywką. Bawiła go swymi kapryсами; wybaczał jej upór, krzykliwe napady złości, a nawet, od czasu do czasu, niewierność. Słowem, była uroczo nieznośna, i przynosiła swemu kochankowi radość przyjaźni i rozkosze miłości, której niepokojów, swarów i upajających pojednań mógł dzięki niej zakosztować. Dała mu wszystko z wyjątkiem nudy! (...)

Człowiek jest najcudowniejszym tworem natury, zawiera w sobie wszystko, a jego talenty są nieskończenie różnorodne, odnawiają się i rozwijają w ciągłym akcie tworzenia. Żadna moc nie jest w stanie zniweczyć tego odwiecznego cudu, jakim jest inteligencja. Oto jeden z dogmatów religii Woltera. „Nie jesteśmy stworzeni jedynie po to, by czytać Platona i Leibniza, mierzyć krzywe i porządkować fakty w naszej głowie, lecz urodziliśmy się z sercem, które trzeba wypełnić... Musimy wpuścić do naszej głowy wszelkie możliwe światy, otworzyć wrota naszej duszy dla wszystkich nauk i uczuć. Jeśli tylko zachować w tym ład, znajdzie się miejsce dla wszystkiego.”

Pani du Châtelet, nawrócona na tę doktrynę wszechstronności człowieka, pisze ze swej strony: „Upodobanie sobie jednej dziedziny sztuki lub nauki dowodzi szczególnego ograniczenia umysłowego... Można jedną z nich przekładać nad inne, ale po co wykluczać pozostałe? Natura dała nam tak mało drzwi, przez które przyjemność i nauka mogą wejść do naszej duszy, dlaczegoż zatem otwierać tylko jedno z nich?”

Toteż otwiera się je na prądy umysłowe z wszystkich stron świata, z zastrzeżeniem, że to „dla przyjemności i nauki”. Jedno idzie w parze z drugim. Oboje kochankowie-przyjaciele są zgodni: hasłem jest „brak wyłączności”. Możliwości człowieka są nieskończone, nie wolno mu powiedzieć „nie” żadnemu ze swych zainteresowań; żadna część jego osobowości nie może leżeć odłogiem. Jeśli amputuje samego siebie, popełnia zbrodnię przeciw ludzkości.

(...)

Saint-Lambert jął od razu zerkać w stronę pani du Châtelet. Nie musiał zerkać długo, wnet rzuciła mu się w ramiona. Było to w pewnym sensie nie do uniknięcia. Emilia była u kresu wytrzymałości. Wolter był zawsze, nawet w swoich najlepszych momentach, tylko „lodowatym kochankiem” — wiek, choroba, swoista oziębłość biorąca się z przesytu, uczyniły zeń kochanka zimnego jak lód. To bardziej niż pewne, że Emilia usychała od wielu lat. A przecież nie była stworzona do takich umartwień. Jej napady złości i płaczu, jej zapamiętanie w grze znalazłyby może wytłumaczenie w osobistym dramacie. Wolter niewątpliwie kochał ją nadal równie mocno jak dawniej — ale inaczej. Począwszy od 1742 r. Fryderyk naigrawa się z Woltera, kiedy ten mu się zwierza — zrobiłby lepiej, gdyby milczał! — że łączą go z Emilią już tylko więzy uczuciowe i duchowe. Może to i prawda, ale wolno w to wątpić. (W każdym razie, jeśli w 1742 r. był zimny dla Emilii, nie był taki dla kogo innego — będziemy jeszcze mówić o tej innej, nieoczekiwanej bałamutce. Gdyby Emilia dowiedziała się o tym, o czym my wiemy, jaka byłaby awantura!) Pewne jest tylko, że Emilia ma chandrę i bardzo z tego powodu cierpi.

Próbowała z Wolterem „zbliżyć”. Musiała się ich jednak wyrzec, przynosiły zbyt wiele rozczarowań. W wierszu przepojonym subtelną melancholią Wolter przyznaje, że są obrządki, których w wieku lat pięćdziesięciu czterech już nie odprawia. Prosi Emilię o wybaczenie, pociesza ją i siebie pociesza. W biegu po rozkosz Miłość raptem dostaje zadyszki, wówczas przekazuje pochodnię Przyjaźni, która idzie dalej... miarowym krokiem, który już nie jest biegiem, ale przechadzką. To alegoria Rezygnacji, najbardziej wzruszająca i rzewna, jaka istnieje.

Oto co pisze Wolter... po fiasku:
Na ratunek mi zstąpiła

Z niebios Przyjaźń nader tkliwa,
 Choć tak takliwa, jednak była
 Znacznie mniej niż Miłość żywa.
 Jej blaskiem wzruszony byłem

 Tak, zem ruszył za nią w drogę,
 Lecz idąc w płacz uderzyłem,
 Że tylko za nią iść mogę.

To dlatego Emilia tak często płakała i spodziewała się, że Saint-Lambert osuszy jej łzy. Operetka kończy się niestety tragicznie, lecz mając coś do powiedzenia w tej sztuce, Wolter nie będzie sobie mógł odmówić paru skapenowych szelmostw, i to u samych wrót grobowca.

Owa „obojętność” Woltera nie była tajemnicą. Ksiądz de Voisenon mówił z myślą o stosunku Woltera do pani du Châtelet, że „napisał on więcej epigramów przeciwko religii niż madrygałów dla swej kochanki”.

A nawet w jego bilecikach — co za oschłość! „Oto czterdziesty drugi dzień bez wiadomości od Ciebie, pomnóż minuty przez 42, a otrzymasz liczbę moich cierpień.” Jeśli ta jałowa matematyka jest wszystkim, czym natchnęła go niecierpliwość, to znaczy, że jego serce jest z lodu. Możemy śmiało powiedzieć: biedna Emilia! Pozostaje jej tylko ekstaza na mrozie na widok gwiazd, lecz i ta ekstaza jest lodowata!

Wciąż jest tak samo zakochana jak na początku. Kochała zawsze z wielkim żarem, bardziej, niż ją samą kochano. Z dwojga zawsze jedno płaci drożej. Emilia otwierała swą duszę przed przyjaciółmi, takimi jak d'Argental i wzrusza to tym bardziej, że jest szczerą i wstrząśniętą, gdy wyznaje „że ma duszę tkliwą i niezmienną, która nie potrafi udawać ani powściągać swoich namietności, która nie zna zobojętnienia ani odrazy, której upór stawi czoło wszystkiemu, nawet pewności, że się nigdy nie będzie kochaną. Byłam wszakże szczęśliwa przez dziesięć lat dzięki miłości tego, kto podbił moja duszę... Kiedy wiek, choroby, zapewne również przesył osłabiły jego uczucia, długi czas tego nie dostrzegałam: kochałam za dwoje... To prawda — dodaje — że utraciłam ten stan szczęśliwości i nie obyło się bez wielu łez, jakie mnie to kosztowało.” Proszę bardzo! Wszystko wyłożyła. W chwili przyjazdu do Lunéville ma dość wylewania łez: koniec z wyrzeczeniami, potrzebuje kochanka. Na jej drodze staje Saint-Lambert, ona zaś go bierze.

W maju 1747 r. Saint-Lambert był już jej kochankiem. (...)

Pewnego październikowego wieczoru w 1748 r. w Commercy Wolter udaje się bez ceregieli do apartamentu Emilii. Drzwi nie są zamknięte, a więc wchodzi. Żadnego lokaja, który by go zaanonsował. Idzie dalej, otwiera inne drzwi, nie widać żywego ducha. Uchyła drzwi do buduaru Emilii... a tu co za obrazek! Jego Emilia i Saint-Lambert w pozycji, która nie pozostawia wątpliwości co do stopnia wzajemnego spoufalenia. Wydaje okrzyk! (...)

Przerażają ją skutki, jakie mogłoby pociągnąć za sobą głośne zerwanie z Wolterem, jej oficjalnym kochankiem od siedemnastu lat. Jaka byłaby jej sytuacja na dworze, w świecie, wobec rodziny? A pan du Châtelet? Co powiedziałyby pan du Châtelet? Że jego żona zdradza pana de Voltaire z nowym kochankiem? Nie zniósłby tego. To zerwanie byłoby równie skandaliczne co rozwód

Pośpieszyła do wezglowia Woltera, który położył się, zdruzgotany tą sceną. Przysiadła na łóżku — jeśli miłość nie była zdolna pogodzić kochanków, pozostawała im logika. Emilia była równie biegła w jednej, jak i w drugiej. Longchamp udawał, że krząta się po sypialni. Emilia mówiła po angielsku, rozumiał tylko pieszczotliwe zdrobnienia, jakimi się nazywali. Ponieważ nie rozumiał nic poza tym, a Wolter był wciąż naburmuszony, Longchamp wyszedł i przyłożył ucho do drzwi. Emilia natychmiast przeszła na francuski. Trzeba było uniknąć go za wszelką cenę.

Zaczęła od nieśmiertelnego argumentu: Woltera wzrok omylił. Źle widział, widział podwójnie. Czyż nie jest prawie głuchy na jedno ucho? Jego oczy nie są lepsze. Wolter zachnął się przysięgając, że widział całkiem wyraźnie i że mógł być dotknięty tego, co widział. Podobnie kiedy ten biedak Musset ujrzał w malignie doktora Pagello darzącego względami George Sand i kiedy ośmielił się poskarżyć kochance, przekonała go, że był jedynie ofiarą gorączkowych halucynacji. Lecz Wolter nie bardziej wierzył w swoje przywidzenia niż Musset w swoje majaki. Wobec uporcu ojca *Semiramidy* i jego strasznego gniewu Emilia zmieniła taktykę. Wyznała wszystko i powiedziała mu, że od tej pory trzeba pogodzić się z sytuacją, by móc dalej żyć, i to nawet dobrze żyć. Wystarczy, by każdy się do tego przyłożył. Wychodząc z takiego założenia,

Emilia zobrazowała je po mistrzowsku.

Co było dla niej najcenniejsze na świecie? Zdrowie Woltera. Gdyby zażądała od swego leciwego kochanka czułych i namiętnych względów, jakich miała prawo odeń oczekiwać, jak by się to skończyło? Zabiłoby go to. Wolter przytaknął. Czy już od dawna tego nie przyznawał? A ona, co stałoby się z nią w obliczu śmierci kochanka, który zginął w jej służbie? Umarłaby ze zgrzyoty. Czego już nie wycierpiała, kiedy był w Prusach. Zwyczajne rozstanie wpędzało ją niemal do grobu, śmierć kochanka zawiodłaby ją tam niechybnie. Zgodził się i z tym. W rezultacie, gdyby Wolter był prawdziwym kochankiem, umarłby od tego, ona zaś by go nie przeżyła. Skoro jednak nim nie był, ona umierała z tęsknoty, gdyż owe miłosne porywy, które dla niego były zabójcze, dla niej były życiodajne. A więc? Chciał zatem, by zmarniała i wyzionęła ducha? Wolter jęknął. Miał stać się przyczyną śmierci Emilii czy pozostawić innemu troskę o utrzymanie jej przy życiu, by mogła go nadal kochać? Okrutny dylemat! Emilia znalazła już rozwiązanie — on zaś był gotów je zaakceptować.

Tak więc wzięła sobie kochanka li tylko dla zachowania przy zdrowiu Woltera i siebie, ten sam środek pomagał obojgu. Saint-Lambert nie był rywalem, w istocie był lekarzem ich słabnącej miłości, był ich zbawcą.

Nie mogąc oprzeć się takiej jasności i rozwadze, Wolter wykrzyknął: „O pani, masz zawsze rację, lecz skoro nie może być inaczej, niech chociaż nie odbywa się to na moich oczach!”

Było to doprawdy najskromniejsze wymaganie, z jakim mógł wystąpić. Skoro Emilia nie może się obyć bez tego remedium, niech przynajmniej zasunie rygiel, kiedy przyjmuje lekarza. Wolter zapłakał. Uściskali się. Emilia poleciła mu dla zdrowia nie myśleć o błahostkach i odeszła.

Ugłaskała jednego z kochanków. Pozostawało jej udobruchać drugiego.

Zapalczywy Saint-Lambert był nadal gotów rozplatać Woltera. Emilia przemawiała doń krócej, gdyż zachowała dla niego inne argumenty niż racjonalne. Niemniej dowiodła mu, że to dla niego żadna chluba ani korzyść zgładzić cherlawego pięćdziesięcioletniego starca, który w dodatku jest sławny, i że znalazłoby się wielu takich, którzy poczytaliby mu za zbrodnię ten pojedynek; że poza tym pan de Voltaire jest najlepiej w świecie usposobiony do swego rywala i chętnie wyciągnąłby rękę do zgody, gdyby pójść do niego z przeprosinami za zbyt gwałtowną wymianę zdań. Tak nakręcony, Saint-Lambert manewrował zręcznie. Stawił się przed Wolterem i wymamrotał kilka słów przeprosin, których nie dano mu dokończyć. Wolter, wzruszony do łez, padł w ramiona tego lekarza, który tak troskliwie opiekował się jego Emilią. I oto płaczą razem. Chciałoby się ujrzyć minę Emilii w owej chwili. „Mój chłopcze — rzekł Wolter młodemu rywalowi — o wszystkim zapomniałem, to była moja wina. Jesteś w tym szczęśliwym wieku, kiedy się kocha i jest się kochanym. Korzystaj z tych chwil zbyt krótkich, taki schorowany starzec jak ja nie nadaje się już do rozkoszy.” (...)

Jest naprawdę honorowym graczem. Aż za bardzo. Posuwa się do wychwalania swego rywala przed Fryderykiem II. Ten musiał się nieźle uśmieć! Jaka przepaść dzieli nas od niszczycielskich namiętności romantycznych! Od tych pasji, które kończą się w kronice wypadków. Można powiedzieć, że jeśli Wolter i jego współcześni tak dobrze radzili sobie z miłością, to dlatego że nie mieli serca. Mówi się, że nie kochali naprawdę. Z pewnością nie kochali tak, jak się kocha dzisiaj, z bebechami. Ale czy to, co w człowieku najlepsze, rzeczywiście tkwi w trzewiach? (...)

[Po śmierci markizy]

Wolter kazał umieścić ten oto czterowiersz pod portretem swej Bogini:

Świat boleje, gdyż zgasła Emilia wspaniała,
Która kochała sztukę, prawdę, przyjemności.
Bogowie użyczyli jej tyle mądrości,
Że dla nich nieśmiertelność już tylko została.

Niepodobna wątpić, że to miłość ma rację: prawdziwą Emilią jest Emilia Woltera. Te lata przyjaźni były najszczęśliwsze w jego życiu i najbardziej płodne. Nikt nigdy nie zastąpi mu Emilii. (...)

Wolter pisze do d'Argentala: "Nie straciłem kochanki, straciłem połowę samego siebie, duszę stworzoną dla mojej duszy, przyjaciółkę od dwudziestu lat, która urodziła się na moich oczach. Najczulszy ojciec nie inaczej kocha swą jedyną córkę. Lubię odnajdywać wszędzie jej ślady; lubię rozmawiać z jej mężem, z jej synem. Słowem, cierpienia bardzo różnią się od Racjonalista.pl

siebie, a moje takiej jest natury.'" (Fragment książki *Wolter czyli królewskość Ducha* Jeana Orieux, tłum. Krystyna Arustowicz)

(Publikacja: 09-03-2007 Ostatnia zmiana: 09-03-2007)

Oryginał.. (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5297>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl